



Spis treści

Przygoda wstępna • 5

Na pełnym morzu! • 5

Wielmożny Sindbad w Bagdadzie • 10

Dziwny list • 10

Przygoda pierwsza • 15

Tajemnica Kapitana • 15

Przygoda druga • 53

Przy śniadaniu • 53

Przygoda trzecia • 80

Kupiec perski • 80

Przygoda czwarta • 110

Tym razem zastałem wuja Tarabuka • 110

Przygoda piąta • 160

Wonny, słoneczny poranek • 160

Przygoda szósta • 188

Zmęczony trudami podróży • 188

Przygoda siódma • 215

Wróciłem do Bagdadu • 215

Zakończenie • 238

PRZYGODA WSTĘPNA

Na pełnym morzu!

Mieszkam stale w Bagdadzie¹. Rodzice moi, umierając, zostawili mi w spadku tysiąc worów złota, tysiąc beczek srebra, sto pałaców, sto ogrodów i jeden trzonowy ząb mego pradziadka, który ojciec mój przechowywał w hebanowej szkatułce, jako pamiątkę i osobliwość. Pradziadek mój przez całe życie chorował na ból zębów i co pewien czas inny ząb musiał wrywać, tak że w końcu jeden mu tylko ząb trzonowy pozostał. Umierając, kazał sobie wyrwać i ten ostatni ząb trzonowy, który przeszedł w spadku od mego dziada do mego ojca, a od ojca – do mnie. Był to zwyczajny, zepsuty i szerniały ząb. Jestem pewien, że na świecie znaleźć można bardzo wiele tak samo zepsutych i szerniałych zębów, lecz nie każdy z nich trafia do hebanowej szkatułki, aby stanowić pamiątkę i osobliwość. Ten – trafił. Nieraz, przyglądając mu się z ciekawością i szacunkiem, wyobrażałem sobie, jak ten ząb bolał niegdyś mego pradziada! Po śmierci rodziców, zamieszkałem w pałacu wraz z jedynym moim wujem Tarabukiem. Wuj Tarabuk był poetą. Co dzień niemal układał wiersze i odczytywał je potem tak głośno, że dostawał bólu gardła i musiał je starannie przepłukiwać lekarstwem, które pilnie ukrywał przed okiem ludzkim, zachowując ścisłą tajemnicę. Twierdził przy tym, że gardło go wcale nie boli i że nie ma przecież potrzeby

¹ Bagdad – dziś: stolica Iraku.

² heban – rodzaj czarnego lub ciemno zabarwionego, cennego drewna.

płukania gardła lekarstwem. Wuj Tarabuk kochał poezję, lecz nienawidził gramatyki. Pisał z błędami i zazwyczaj na jedno słowo dwa do trzech błędów popełniał. Wstydził się wszakże swej błędnej pisowni i twierdził, że popełnia błędy umyślnie, ażeby potem mieć sposobność i przyjemność poprawiania swych utworów. Nie zauważyłem jednak, ażeby wuj Tarabuk raz napisany wiersz kiedykolwiek poprawiał.

Wuj Tarabuk miał stolik składany, srebrny kałamarz i złote pióro. Z tymi przyborami chodził na brzeg morza, siadał nad brzegiem i, wsłuchany w szumy morskie, pisał swe wiersze. Pewnego razu o poranku poszedł na brzeg morza. Ustawił stolik składany, umoczył złote pióro w srebrnym kałamarzu i zaczął pisać jakiś wiersz na różowym papierze. Pisał i pisał, skrobał i skrobał, pocił się i pocił, sapał i sapał, aż wreszcie, po nieludzkich trudach i mękach, ułożył wiersz następujący:

Morze – to nie rzeka, a ptak to – nie krowa!
Szczęśliwy, kto kocha rymowane słowa!
Rymuj mi się, rymuj, drogi mój wierszyku!
Stój w miejscu cierpliwie, składany stoliku!
Stoi stolik, stoi, zachwiewa się nieco,
Za stolikiem – morze, za morzem – Bóg wie co!

Napisawszy ten wiersz, wuj Tarabuk odczytał go głośno i zawołał:

– Piękny wiersz! Jaki prawdziwy początek! Morze to nie rzeka, a ptak to – nie krowa. Któż zaprzeczy prawdzie tych słów! I jaki trafny koniec! Za stolikiem – morze, za morzem – Bóg wie co. Rzeczywiście, za morzem widać mgłę, a w tej mgłę dał nieznaną. Jeden Bóg wie, co się w tej dali kryje? Dlatego też napisałem: za morzem – Bóg wie co, Bóg wie co. Wuj Tarabuk zatarł ręce z zadowolenia i wyciągnął z kieszeni butelkę z tajemniczym lekarstwem, ażeby przepłu-

kać gardło, nadwężone głośnym odczytaniem świeżo napisanego wiersza. Trudno uwierzyć, ile błędów gramatycznych zdążył popełnić wuj Tarabuk w tak krótkim wierszyku! Zamiast „rzeka”, pisał „żega”, zamiast „ptak”, pisał „bdag”. Nie chcę wszystkich błędów wyliczać, aby nie ośmieszać swego wuja, którego kocham i poważam. Zresztą sam wuj Tarabuk czuł, że pisze błędnie. A chociaż nie mógł swych własnych błędów zauważyć, wszakże, powtórnie wiersz przeglądając, zaczął każde słowo o błąd podejrzewać. Szereg tych nieustannych podejrzeń tak go zmęczył, że wreszcie, poprawiwszy „bdaga” na „bdacha”, zasnął snem nagłym, smacznym i pokrzepiającym. Spał, kiwając się bezwolnie nad składanym stolikiem i co chwila pochrapując, bo wuj Tarabuk chrapać lubił i umiał. Chmury zgromadziły się na niebie, morze rozbłysło srebrnymi wstęgami rozszumiałych pian, zerwała się burza.

Wuj Tarabuk spał. Wichur uderzył w stolik składany, porwał srebrny kałamarz i złote pióro i wrzucił je do morza. Wuj Tarabuk spał. Utonęło złote pióro i srebrny kałamarz. Po raz pierwszy obydwa te przedmioty znalazły się na dnie morskim wśród dziwnych ryb i potworów. Wichur powtórnie uderzył w stolik składany i zwiął wszystkie papiery do morza. Były to – niestety! – wszystkie wiersze wuja Tarabuka, które napisał od lat dziecińczych aż do chwili ostatniej. Wiersze zakołysały się na wzburzonych falach i zaczęły moknąć. Mokły, mokły, aż przemokły i, ociążone od wypitej wody, poszły na dno w ślad za kałamarzem i piórem. Morze, poczuwszy w swej głębi rymowane utwory wuja Tarabuka, wzburzyło się jeszcze bardziej, zaszumiało, zaryczało tak mocno, że wuj się nareszcie zbudził. Zbudził się i spojrzął na stolik. Nie ujrawszy na stoliku swych skarbów, zaczął płakać i wrzeszczeć, i wrywać włosy z głowy. Płacząc, wrzeszcząc, wyjąc, skomlać i wrywając pęki bujnych włosów, pobiegł z powrotem do domu, pochwycił wędkę największą, wrócił z nią na brzeg morza

i zarzucił wędkę do wody. Myślał wuj Tarabuk, iż mu się uda wędką rękopisy swoje z głębin morskiej powyławiać. Odtąd wuj Tarabuk co dzień z wędką nad morze chodził, lecz nadaremnie! Nigdy bowiem nie udało mu się ani jednego rękopisu wyłowić!

Tymczasem wszystkie rękopisy wuja leżały na dnie. Zauważyła je pewna ryba, zwana Diabłem Morskim. Jest to ryba z pękatym brzuchem, olbrzymią paszczą i strasznymi oczyma. Ma wszakże tę zaletę, iż jest uczona. Umie czytać i pisać. Otóż Diabeł Morski, ujrawszy rękopisy, zbliżył się do nich i zaczął uważnie odczytywać. Po odczytaniu kilku rękopisów, machnął gniewnie ogonem i zawołał:

– Nigdy jeszcze nie czytałem tak głupich, brzydkich i nieznośnych wierszy. Na domiar złego, w każdym słowie dwa do trzech błędów się ukrywa. Domyślam się, że autorem tych wierszy jest wuj Tarabuk, który co dzień nad brzegiem morza wysiaduje przy składanym stoliku i suszy głowę nad rymami. Dobrze się stało, że wicher zwał mu ze stolika te rękopisy wraz ze srebrnym kałamarzem i złotym piórem! Może przestanie wreszcie tworzyć te obrzydliwe wiersze! Ma on bardzo miłego siostrzeńca Sindbada i mieszka z nim razem w pałacu. Biedny to siostrzeniec, który z takim wujem mieszkać musi pod jednym dachem! Skorzystam z tego srebrnego kałamarza i złotego pióra, aby napisać list do Sindbada. Poproszę mojej dobrej znajomej Ryby Latającej³, żeby ten list Sindbadowi wręczyła. Diabeł Morski zabrał się natychmiast do pisania listu. Wybrał rękopis, którego jedna tylko strona była zapisana, a druga pusta i zaczął szybko złotym piórem pisać na pustej stronie. Wiem o tym wszystkim, co się działo na dnie

³ *ryba latająca* – morska ryba należąca do rodziny ryb belonokształtnych, występująca w Oceanie Indyjskim, Oceanie Atlantyckim i Spokojnym; swoją nazwę potoczną zawdzięcza temu, że dzięki charakterystycznym, przypominającym skrzydła, płetwom piersiowym potrafi wzbicić się ponad powierzchnię wody.

morza, gdyż pewnej nocy otrzymałem list od Diabła Morskiego i z treści tego listu domyśliłem się, że działo się właśnie tak, a nie inaczej. Siedziałem w oknie otwartym i patrzyłem przez okno w niebiosa, na których płonęła pełnia księżycowa. Nagle usłyszałem w powietrzu dziwny, suchy, ostry szum skrzydeł. Był to szum osobliwy, do żadnych szumów niepodobny. Żaden ptak nie szumi tak skrzydłami.

Wysunąłem głowę przez okno i zacząłem uważniej wpatrywać się w księżycową jasność pogodnej nocy. Po chwili ujrzałem w powietrzu Rybę Latającą.

Jej skrzydła, podobne do ogromnych płetw, srebrzyły się w księżycu. Poruszała nimi powoli i z trudem. Nie była snadź⁴ przyzwyczajona do lotu nad ziemią i raził ją zapewne brak wody morskiej w powietrzu.

Leciała jednak wytrwale, mieniając się w świetle księżyca łuską tęczową. Widziałem, jak szybko porusza zmęczonym pyskiem, chwytając dech, utrudniony brakiem wody. W pysku trzymała kawał różowego papieru. Leciała wprost ku mnie. Zbliżywszy się do okna, podała mi papier różowy. Zaledwo ten papier wyjąłem jej z pyska, ryba natychmiast umknęła z powrotem i wkrótce znikła mi z oczu.

Spojrzałem na papier. Na jednej jego stronie świecił kaligraficznie i starannie, lecz z okropnymi błędami napisany wiersz wuja Tarabuka. Poznałem od razu charakter jego pisma i, nie chcąc odczytywać nudnego i głupiego wiersza, odwróciłem arkusz papieru i spojrzałem na drugą jego stronę. Na drugiej stronie, u góry, olbrzymimi literami czernił się tajemniczy napis, który wprowadził mnie w stan głębokiego niepokoju.

⁴ *śnadź* (daw.) – wszak, wszakże, przecież.

WIELMOŻNY SINDBAD W BAGDADZIE

Dziwny list

Niżej, pod tym napisem, znajdował się list do mnie, treści następującej:

Piszę z morza do Ciebie, kochany Sindbadzie!
Choć się burza zerwała i fala się kładzie
Na mój grzbiet i przerywa mój spokój i ciszę,
Ja – mimo burz i wichrów – list do ciebie piszę.
Nazywają mnie ludzie Diabłem Morskim, ale,
Choć jestem morskim, diabłem nie czuję się wcale.
Przeciwnie – jestem dobry, tkliwy, choć rubaszny,
Bo mam brzuch zbyt pękaty i pysk bardzo straszny.
Nie sądz mnie po pozorach ani po wyglądzie,
Ja zjadam ryby w morzu, ty zjadasz – na lądzie,
Ja połykam je żywcem, ty – po usmażeniu.
Obydwaj dogadzamy swemu podniebieniu,
Obydwaj pożeramy chętnie, co się zdarza,
Z tą różnicą, że nie mam, tak jak ty, kucharza.
Ja wolę ryby z morza, ty – ryby z patelni,
Lecz obydwaj jesteście w pożeraniu – dzielni.
Mimo to nikt cię diabłem dotąd nie przezywa,
A mnie w dziale przypadła ta nazwa straszliwa!
Ani burza najsrozsza, ani złe wichrzysko
Nie męczy mię, nie boli tak, jak to przezwisko!
Trudno! Muszę je nosić, choćby z tej przyczyny,
By nie zostać bez nazwy wśród morskiej głębiny!
Przysięgam ci, że diabłem nie jestem i wolę

Diabeł Morski

Pływać w morzu niż w ogniu piekielnym lub smole,
Ufam, że ci wystarczy ta moja przysięga.
Piszę ten list z powodu, iż wicher-włóczęga,
Który na brzegu przygód byle jakich szuka,
Zwiął do morza papiery wuja Tarabuka,
Słynny srebrny kałamarz, tudzież złote pióro.
Płynąłem właśnie, gnany falą i wichurą,
I pod wodą papiery widząc niespodzianie,
Zacząłem chciwie czytać, bo lubię czytanie,
A nawet wolę wiersze od zwyczajnej prozy.
Przeczytałem – i dotąd od gniewu i zgrozy
Trzęsę się, bo, doprawdy, w życiu po raz pierwszy
Przeczytałem tak dużo tak okropnych wierszy!
Co za rymy bez sensu wuj Tarabuk przędzie!
Głupstwo siedzi na głupstwie, błąd siedzi na błędzie,
Osioł pisałby lepiej, a noga stołowa
Więcej ma w sobie sensu, niżli jego głowa!
Sindbadzie! Jakże możesz żyć pod jednym dachem,
Z takim głupcem nieznośnym i z takim postrachem?
Jak możesz spać spokojnie w tym samym budynku,
Gdzie Tarabuk swe rymy tworzy bez spoczynku?
Opuść prędzej swój pałac i pożegnaj wuja,
Czyż nie nęci cię okręt, co po morzu buja?
Czyż nie wabi cię podróż dziwna i daleka?
Cud nieznaną w nieznaną podróż cię czeka.
Czeka cię bajka senna w zakłętej krainie,
I Królewna stęskniona, co z urody słynie,
I skarby i przepychy i dziwy i czary!
Pędź na lotnym okręcie przez morza obszary,
Zwiedzaj wyspy, półwyspy, lądy i przylądki,
I najdalsze zatoki, najskrytsze zakątki,
Zwalczaj wszelkie przeszkody i wszelkie zawady!
Pędź, leć, płyn bez ustanku! Posłuchaj mej rady!
Tego ci życzy, ukłon przesyłając dworski,
Kochający cię szczerze – twój druh

Przeczytałem ten list jednym tchem i wyznam, że nigdy nie przypuszczałem, ażeby Diabeł Morski pisał tak składnie i poprawnie. List ten wywarł na mnie wielkie wrażenie. Rady Diabła Morskiego wydały mi się i słuszne i ponętne. Od dawna mi się znudził i mój pałac, i wuj Tarabuk, i wiersze wuja Tarabuka. Od dawna pragnąłem zaznać przygód i niebezpieczeństw. Prócz tego list Diabła Morskiego, czytany w świetle księżycy, oczarował mnie przenikliwym, nieodpartym czarem. Każde słowo, pisane czarnym atramentem na różowym papierze, dziwnie migotało w blasku księżycowym i tak mnie upajało, że poczułem w końcu zawrót głowy. Każda litera wydzielala ponętny zapach morskiej trawy. Zapach ten przenikał do mej duszy i budził w niej żądze podróży morskiej. Bez wątpienia list ten był zaklęty, a treść jego, mimo dobroduszných pozorów – była naprawdę diabelska. Przebiegły Diabeł Morski w wyrazach łagodnych i tkliwych namawiał mnie do opuszczenia rodzinnego domu i jedyne go wuja. Poddałem się jednak czarom tej namowy. Byłem tak zachwycony listem, adresowanym na moje imię z tajemniczych głębin morza, że byłbym natychmiast odpisał Diabłu Morskiemu, gdyby Ryba Latająca zaczekała na moją odpowiedź. Lecz Ryba Latająca od dawna już nie było. Nie czekając na odpowiedź, uciekła z powrotem do morza.

Całą noc przesiedziałem przy oknie, w głębokiej zadumie. Nad ranem wyczekałem chwili, gdy wuj Tarabuk z wędką w rękę wychodził właśnie z pokoju, aby swoim zwyczajem udać się nad morze dla wyłowienia zgubionych rękopisów. Był błądny i smutny. Strata ukochanych rękopisów rujnująco wpłynęła na jego zdrowie. Postarzał się o lat sto z górą, chociaż miał dopiero lat pięćdziesiąt. Stał się małowmny i nie kończył słów, które zaczynał. I teraz spojrział na mnie smutnie i rzekł: – Dzień do...

Miało to znaczyć: „dzień dobry”. Zmartwienie i żal głęboki nie pozwalały mu słów domawiać. Przyzwyczailem się do